TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 19. *Chicago, Ills., 5 Listopada, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Wydobyłem z puzderka moje pistolety — bo co wiedzieć było, czy mnie ci nasadzeni łotrowie gdzie na ulicy samotnego nie zejdą — nabiłem je ostro, opatrzyłem dobrze zamki, okryłem się płaszczem, a wziąwszy do rąk małą latarkę obozową, wyszedłem z domu na miasto.

Wyszedłszy już na ulicę, dopiero sobie przypomniałem, jako nie wiem dobrze, gdzie Deibel kwaterą stoi, bo choć mi o tem mówił, nie spamiętałem sobie dokładnie. Nie chciałem jednak zwlekać narady do rana, puściłem się tedy na miasto, aby koniecznie o Deibla się wypytać. Część miasta, w której Deibel mieszkał, wiedziałem — puściłem się więc w tę stronę. Noc była już ciemna, bo było to jeszcze za dni krótkich, a mizerne ulice mieściny puste były i ciche.

Gdy stanąłem już na ulicy, przy której Deibel miał mieszkać, począłem się rozglądać czyli kogo nie obaczę, coby mi powiedział, w którym domu jego kwatera; ale ulica była

już całkiem pusta i tylko na progu jednego domku siedział jakiś wyrostek. Zbliżam się do niego i pytam, czy nie wie, aby tu gdzie mieszkał jaki oficer, taki a taki.

— Tu w tym domu — mówi on mi na to — mieszka oficer jeden; nie wiem tylko, czy ten sam, którego pan szuka.

Pomyślałem sobie, iż być może, że tu właśnie na samego Deibla trafię, a jeźli to nie on, ale inny jaki oficer, to się od niego łatwo dowiem gdzie Deibla mam szukać. Nie pytam już tedy dalej, ale za wskazaniem owego wyrostka mijam sień ciemną i wąziutką, staję przed drzwiami, które do tego oficera prowadziły i pukam. Na silnie moje pukanie nikt nie odpowiedział; zawachałem się też, czyli wejść lub nie; ale że interes był pilny, a innej drogi do wyszukania Deibla nie miałem, więc otwieram drzwi, które nie były na klucz zamknięte, wchodzę do izby.

Naprzeciw samych drzwi widzę młodego oficera, który siedzi wsparty na ręce w głębokiem zadumaniu, a w ręku trzyma pistolet z odwiedzionym kurkiem. Na stole świecił się tylko mizerny kaganiec, więc od razu twarzy oficera dobrze odróżnić nie mogłem, ale gdy dobrze wzrok wytężyłem, poznałem zaraz, że to mój znajomy z winiarni Mursza, ten sam młody oficer od dragonów Wielopolskiego, co to w tej przygodzie z panami pancernymi sukurs mi swój ofiarował.

Był blady jak trup, a wejrzenie miał dzikie i desperackie. Czarne jego oczy paliły się jakowymś dziwnym ogniem gorączkowym, usta miał zaciśnięte — a na całej twarzy widać było jakąś straszliwą decyzyę. Taki był przerażający aspekt jego cały, żem się zatrzymał, nie wiedząc, czy doń przemówić, czy nie. Nagle jakby mnie Bóg natchnął, abym tego człowieka ratował, przychodzi mi na myśl, że być może, jako ten nieszczęśliwy na własny swój żywot godzić zamierza.

W tem swojem zamyśleniu i desperackim frasunku nie słyszał mój młody znajomy, że ktoś wszedł do izby, i nie widział mnie, patrzącego nań z serdeczną zgrozą. Zbliżam się tedy za jego plecyma na palcach i chwytam nagle a silną dłonią za rękę, w której on trzymał pistolet, wołając przytem silnym głosem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Młody oficer porwał się szybko, na moje pobożne powitanie nie odpowiedziawszy, i patrząc na mnie, chciał wydrzeć ramię swe z mojej dłoni, alem go nie puścił, jakby żelaznym kleszczem trzymając.

— Czego Waćpan chcesz odemnie w tej porze? — zawołał.

Ja na to spojrzałem mu bystro w oczy, milczałem dobrą chwilę, ciągle za rękę go trzymając, a nagle tak zapytałem:

— Co to Waćpan chciałeś w tej chwili z sobą zrobić?

— Co Waćpanu do tego! — mówi on na to.

— Już do tego, a z jakiej racyi to ci później powiem — ale wyznaj, nie miałżeś teraz grzesznego zamiaru? — rzekłem wskazując na pistolet z odwiedzionym kurkiem. — Żal mi, ale przypuszczać muszę, że Waćpan chyba życie sobie odebrać chciałeś?

— A gdyby tak było? — wołał spuszczając oczy.

— Gdyby tak było, to bym Waćpanu powiedział, żeś Waćpan albo tchórz, albo infamis, albo oboje razem.

Skoczył on na to jak oparzony i woła:

— Hola, panie Narwoj, milcz proszę, bo mogę ja tam pójść z tobą, gdzie sam pójść chciałem!

— A ja nie pragnę tego honoru, panie oficerze, bo ja złych towarzyszy nie lubię.

Młody oficer zdumiony tym moim tonem ostrym i surowym, a pomięszany okrutnie, żem go tak prawie na gorącym uczynku zeszedł, nic nie mówił, jakby szukając dopiero słów do odpowiedzi. Ja tymczasem odebrawszy mu pistolet i biorąc go za rękę, uścisnąłem mu dłoń po przyjacielsku, i patrząc mu z serdeczną kompasyą w oczy tak się ozwałem:

— Nie dziwujże się ty, mój kochany bracie, że tak ostrym tonem do ciebie przemówiłem, i nie myśl, abym ja nie komizerował się twemu nieszczęściu, boś nieszczęśliwy, widzę, bardzo nieszczęśliwy, skoro o Bogu zapomniawszy, w zapamiętałości desperackiej na życie własne godzisz — a wszakże tak było, miły bracie?

— Tak... — rzekł on na to i oczy ku ziemi spuścił.

— Owoż widzę ja teraz — ozwę się na to — że mnie Bóg tu przysłał, abym cię odwiódł od zbrodni i grzechu śmiertelnego, i wierzaj mi to, kochany towarzyszu, od najszpetniejszej infamii, jakiej się dopuścić może żołnierz i katolik....

— Gdybyś ty był na mojem miejscu — odpowiedział — kto wie, ażalibyś tak samo nie uczynił. Gdybyś ty mój bracie znał całą gorzkość mojego położenia, pewniebyś się nie dziwił mojej rozpaczy. Ale już ty mi na to nie poradzisz...

— Czy poradzę, tego ja nie wiem, czy nie poradzę, tego ty znowu wiedzieć nie możesz; ale jeśli ja nieznany Waćpanu człowiek mogę mieć jakie zaufanie u ciebie, to mi się zwierz w twojej afflikcyi. Mam dla ciebie wdzięczny sentyment jeszcze od dzisiejszej mojej przygody, żeś tak szlachetnie partyzował za mną, i wierzaj, żem z duszy ci rad nieść pomoc, jeśli to w mocy mojej będzie.

On chwilę milczał, a potem tak prawić począł:

— Nazywam się Jerzy Paszyc i z uczciwej a nawet niegdyś możnej familii szlacheckiej pochodzę. Mój stryj był podczaszym witebskim, i pomagał matce mojej, która owdowiawszy po moim ojcu, bez żadnej pomocy i fortuny została. Przed kilku laty stryj mój umarł i pomoc ta jedyna ustała.

Miałem zawsze wielki pociąg do wojskowej służby i koniecznie chciałem być oficerem. Moja matka, która mnie miłuje bardziej, niżem ja nieszczęśliwy tego godzien, oddała całą resztkę swego mienia, jaką jeszcze z lepszych czasów i z swojej oprawy była uratowała, aby mi kupić chorągiew w pułku Wielopolskiego. Pozbyła się nieboga ostatniego grosza, przeniosła się ze wsi do Warszawy, tu w nędznym kącie zamieszkawszy, a ja wziąłem na siebie obowiązek święty, z żołdu mego, który w dragonach pana Wielopolskiego i dostatni jest i punktualnie płynie, utrzymywać drogą matkę moją, co wszystko ofiarowała, aby moje życzenie spełnić, sama sobie starość biedną gotując. Zapłaciła moja matka za kapitanię z szwadronem 40,000 złotych — a ja ledwie rok służywszy, oto teraz w haniebny sposób ją straciłem!...

— Człowieku! — zawołałem — cóżeś uczynił? Jakimże sposobem to się stać mogło?

— Owo słuchaj Waćpan, jak to było. Nieszczęście chciało, że mnie z pułku tu komenderowano na komisyę radomską; bodaj ta godzina trzykroć przeklętą była, w której tu noga moja stanęła. Możeś się już Waćpan przypatrzył, jako tu oficerowie żyją. Jaskinia to kartowników i szalbierzy, na mojej to skórze doświadczyłem. Jest tu niejaki Borawka, którego Waćpan widziałeś zapewne; ten mnie do siebie na wieczór zaprosiwszy, wraz z niejakim majorem Sabi do gry w *passadieci* zasadził. Mam podejrzenie, że na mnie z góry parol zagięli, bo gdy mi ciągle pić dawano, oni sami ani ust nie zmoczyli. Owo stało się, że przegrałem do majora Sabi 6000 złotych. Nie miałem czem zapłacić, a zapłacić musiałem, bo powiadają mi wszyscy: „dług to honorowy, do trzech dni Waćpan pieniądze masz wyliczyć". Kiedy się tak okrutnie frasuję i w głowę zachodzę, jak tę sumę tak znaczną zapłacić, jawi się Borawka, niby to litując się nad moim ciężkim kłopotem, i ofiaruje się pożyczyć mi 6000 złotych, żądając w zastaw mego patentu wojskowego. Niedoświadczony w takich sprawach, a mocno się trwożąc, aby mnie za niezapłacenie owego niby honorowego długu nie ogłoszono między oficerstwem za infamisa, jak to kartownicy tu w Radomiu robić zwykli, przyjąłem wszystkie kondycye, jakie mi postawił ów poganin Borawka. Jakby mnie jakowa demencya opanowała, akceptowałem rygor, że jeśli do dwóch tygodni swego patentu nie wykupię, kapitaństwo moje przejdzie na własność Borawki, który go bez wszelkiej z mojej strony pretensyi będzie mógł sprzedać lub dla siebie zatrzymać. Podpisałem na to skrypt w takowej formie, że już nie ma żadnej apelacyi. Uczyniłem to wszystko w nadziei, że się jeszcze odegram, stratę moją powetuję i patent w terminie odkupię. Sprzedałem wszystkie kosztowności, jakie jeszcze posiadałem, zegarek złoty szmaragdami kameryzowany, podarunek ś. p. stryja mego, pana podczaszego witebskiego, sygnet mój herbowy i inne zabytki, które przy mnie jeszcze były — ale zamiast się odbić, przegrałem znowu wszystko — a teraz mnie Waćpan widzisz w srogiej desperacyi i w tak mizernem położeniu, że już nie widziałem innego środka, jak w łeb sobie palnąć. Dwa tygodnie owe, w skrypcie Borawki opisane, pozawczoraj minęły, kapitania moja przepadła. Rozpisałem ja wprawdzie listy do moich przyjaciół w regimencie, o sukkurs ich prosząc, i pewniebym za lada jakie kilka tygodni owe sześć tysięcy wydobył, ale Borawka, twardy jest i głuchy na moje prośby jak opoka, o żadnej dylacyi ani wiedzieć nie chce, ale otwarcie powiada, że moja kapitania już na zawsze przepadła, i że ją lada dzień komu sprzeda. Owo wiesz teraz Waćpan, jako się ma rzecz cała;

osądźże sam, czy mogę ja to przenieść w rezygnacyi, abym matkę moją, co mi ostatnim swym groszem do mojej rangi dopomogła, miał widzieć w nędzy ostatniej, a siebie w poniżeniu, bez uczciwej pozycyi i bez sposobu do życia!

Tą naracyą swoją tak się biedny Paszyc wzruszył, że twarz dłońmi kryjąc, płakać począł jak dziecko.

— Nie! panie oficerze! — wołał do mnie — idź ty sobie swoją drogą, a mnie w wykonaniu mojej rezolucyi nie przeszkadzaj, moje życie nic już nie warte, bo mnie sumienie gryzie i speransów już żadnych nie mam!

Wtedy ja mu na to:

— Odpowiedzże mi panie oficerze na dwie kwestye, które ci postawię, a będę kontent i puszczę cię, abyś sobie szedł, kędy cię twój furor desperacki wiedzie! Czy gdybyś na wojnie stał na swoim posterunku, a nieprzyjaciel cię twardo i okrutnie najeżdżał, powiedz Waćpan, czybyś uciekł z placu, człowiekiem bez serca i męztwa się pokazując?

— Nie, nigdy! — odpowiedział Paszyc.

— Tak się też i ja po Waćpanu spodziewam. Powiedzże mi jeszcze, czy byłbyś ty zdolny takowego uczynku, abyś na przykład, pożyczywszy od rodzonej matki cały jej ostatni fundusz wdowi, wsiadł w Gdańsku na okręt i do Ameryki sobie popłynął, bez żadnego skrupułu matkę w nędzy zostawując?

— Jakżeż mnie Waćpan tak pytać możesz, toż nikczemnym niegodziwcem nie byłem nigdy.

— Jeśli tak, — rzekę ja na to — to już ja spokojny o ciebie, i wiem, że sobie życia nie odbierzesz, bo to by na jedno wychodziło, co tchórzem się okazać i matkę rodzoną okraść. A przeciwnie pewny jestem tego, że jako żołnierz serce i męztwo, jako syn wierność, a jako katolik pokorną rezygnacyę w tej ciężkiej turbacyi twojej okażesz.

On na to zamyślił się głęboko a nic nie odpowiedział. Widząc ja, że słowa moje do sumienia i serca mu poszły, pocznę mu dalej tłumaczyć — a dał mi Bóg wyraźnie tego wieczora taką wymowę i taką moc argumentów, że sam się sobie dziwiłem, zkąd mi ta swada tak pięknie płynęła.

— Bądźże Waćpan dobrej myśli — skończyłem moją perorę — bo choćby ci przyszło dziś jeszcze dosługiwać się na nowo rangi w wojsku, toś jeszcze młody i masz przed sobą wszelkie speranse sukcesu. Jakoś to się ułoży jeszcze; i na Borawkę znajdzie się jeszcze hak jaki, na którym urwisz zębami uwiśnie; ale tak od razu kapitulować, to babska a nie żołnierska rzecz, panie Paszyc! Gotuje się tu coś i na Borawkę; warzy mu się tu piwko nie złe; jeno poczekaj, a obaczysz, że nie zawsze łotrowie tryumfują. Bywajże mi zdrów, panie kawalerze, a prawie na pewno ufaj temu, że pojutrze jeszcze u Mursza śmiać się będziesz przy dobrem winie z twojej dzisiejszej dziecinnej a bezbożnej imprezy!

On mnie na to ramionami objął i z serdecznym affektem uścisnął, dziękując, żem mu jako anioł stróż stanął w tak niebezpiecznej a fatalnej godzinie. Potem zebrawszy się, zaraz mnie do kwatery Deibla odprowadził i tu się rozstaliśmy.

Dopiero po owej spowiedzi Paszyca skombinowałem wyraźnie, co znaczył ów targ o kapitanię, którą mi Borawka za bezcen narzucał. Wszystko mi się teraz ułożyło w głowie i stanął mi na myśli cały plan szkaradny, który ten łotrzyk i na moją skórę i na mój mieszek uknował. Zdrada wyszła oliwą na wierzch — i już wiedziałem, jaką to sztuką wziąść mnie chce niecnota.

Owo widoczną to było teraz rzeczą, że Borawka był agentem werbunkowym pruskim, jakich temi czasy bywało dużo na polskiej ziemi, i że porozumiał się z Schwedickem, aby mnie tu w Radomiu schwytać i do pruskiej granicy odstawić. Do takich sztuczek podobni łotrowie jak Borawka i Schwedicke mieli już wprawę wielką i szły im one jakby z płatka; pakowali swą ofiarę związaną i z skneblowanemi ustami do krytej fury i wieźli z sobą, dokąd się im podobało.

Gdzie tego koniecznie było potrzeba, tam się znalazło i pismo starościńskie lub marszałkowskie, które zbójcom tym glejt wolny czyniło — ale najczęściej bez tego się obeszło, bo cię nikt w Polsce całej na drodze nie zatrzymał i nie pytał, gdzie jedziesz a co wieziesz. Z takiej wolności nieograniczonej i z tego opłakanego nieporządku najlepiej opryszki korzystały.

Takim to kształtem i mnie uwieźć chciano. Borawka snać na pewno liczył, że mnie wezmą, i dla tego ową kapitanię, którą, jak się to teraz dopiero dowiedziałem, Paszycowi wydarł, po tak nizkiej cenie mi sprzedawał. Myślał sobie infamis: „co da, to da, a zawsze zysk z tego, bo jak kupi rangę, to ją mieć będzie przez dzień

jeden, a gdy go Schwedicke weźmie, ja patent sobie odbiorę, a tak i kapitanię i 6000 złotych mieć będę". W taką to sieć mnie złapać miano.

Podziękowałem w myśli Panu Bogu, że mnie swoją najłaskawszą opieką dotąd chronił, i całą zdradę odkryć i przeniknąć dozwolił. Teraz już o siebie nie bałem się, ale chodziło mi o to, aby ów kij, co go na mnie zgotowano, obrócić na Borawkę, tak sprawą całą zakierować, aby się niecnota w własne sidła ułowił i w tym samym dole leżał, który tak chytrze podemną podkopał. Jakoż wnet stanął mi na myśli plan cały, jak mam sobie począć, aby i Paszyca z rąk szalbierskich salwować, i Borawkę rozumu nauczyć, i owych frantów pruskich, co na moją skórę łakomi, aż tu w Radomiu na mnie się nasadzili, z kwitkiem posłać do pana obersztera Koggeritza!

Deibel i Wedelsztedt, którzy razem stali kwaterą, wysłuchali z wielkiem zdziwieniem mojej przygody, a Deibel tak mi powiedział:

— Widzisz tedy, panie kamrat, jako przy mnie racya była. Miałeś to sobie strachy na Lachy, kiedym cię przed pruskimi szpiegami przestrzegał, a teraz owo masz, jaki ci pasztet do zgryzienia dać miano. Łaska to Boża i szczególniejsze szczęście, żeś jeszcze dawnemi laty tak serce tego wachmistrza Scherweina ku sobie skłonił, bo gdyby nie jego przestroga, byłby cię ów pogański syn Schwedicke wziął jak swego. Już ja teraz o ciebie nie troskliwy, bo ano teraz pokażemy im, jak się to tłumaczy polskie przysłowie: „Trzymał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma". Boć oni już pewnie twoją skórę sprzedają....

Wedelsztedt, jako był człowiek rączego serca i bardzo *animosus*, nie mógł wysiedzieć na miejscu od indygnacyi i wołał:

— Miałbym cię bracie za hetkę pętelkę, gdybyś ty ich teraz płazem puścił, tych opryszków pruskich, a już najbardziej tego kanalię Borawkę. Jak tu jesteśmy we trzech razem, tak chodźmy, a przybrawszy jeszcze kogo, zejdźmy to łotrostwo i porąbmy!

— Powoli, powoli! — mówię ja na to — nie bądź wasze taki gorączka. Sztuką wilki tłuką. Takim kształtem, jakim Waszmość bierzesz się do rzeczy, jeszczebyśmy się mogli znaleźć na gardłowym regestrze.

— Dajmyż tedy znać na odwach — mówi Wedelsztedt — niechaj ich pod areszt wezmą, a potem w loch wrzucą, aby było dla innych *exemplum!*

— Daj tylko pokój temu — odezwie się Deibel — już ty ich gołą ręką nie weźmiesz, bo z nich każdy ślizki jak węgorz. Dasz ich pod areszt — to i co z tego? Mają oni pewnie dobre papiery z sobą a wykłamią się tak gładko, i wyprą się swojej szkaradnej imprezy tak zręcznie, że zamiast abyś ty ich przycisnął, to oni tobie nasadzą na zdrowy łeb całą palestrę, o gwałt, o lezyę i Bóg wie o co. Już w tem Borawki głowa!

Na taką ich deliberacyę występuję ja z moim planem.

— Panowie bracia — mówię im — mam ja gotową receptę. Stanie się i po woli Wedelsztedta, bo bez tego się nie obejdzie, aby po uszach nie wzięli, ale to niechaj będzie epilogus. Tymczasem zaś tak chcę zrobić. Borawka sprzedaje mi kapitanię, która warta między braćmi 30,000 złotych, za 6,000 tylko, bo pewny już jest tego zdrajca, że i pieniądze i stopień przy nim zostaną. Owoż wiecie co? oto jutro rano ja tę kapitanię kupię. Jak więc Borawka weźmie pieniądze, wówczas pilno mu będzie, abym dostał się pod opiekę profosa i pewnie na mnie tego samego dnia jeszcze ową zbójecką zgraję nasadzi. Ja tymczasem będę już przygotowany i na dobrej pieczy, bo liczę na waszą przyjaźń, że mnie na każdym kroku eskortować będziecie. Napadną nas gdzie, to się nie damy, a przeciwnie łotrzyków owych nauczymy *mores* po polsku. W on czas już i z Borawki spadnie maska — i osadzimy go na infamii, jako na to zasłużył. *Tandem* więc kapitania będzie moja — pan graf Koggeritz mnie nie zobaczy — a Borawce będzie piskorz!

Oni obaj mowy mej wysłuchawszy, projekt aprobowali, obiecując mi po przyjaźni, że mnie na krok nie odstąpią, aż dopóki już całkowitego bezpieczeństwa nie będzie. Dobrej myśli wróciłem do domu i spać się spokojnie położyłem, naprzód się już tryumfem moim radując. Na drugi dzień jeszczem spał, kiedy mnie zbudziło stukanie do drzwi. Otworzyłem, a do izby wszedł Borawka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

RUSAŁKA.

Balada Maurycego Jokai'a
tłumaczył.
Juljusz H...

(Dokończenie.)

Ow gazda szeklerski miał trzech synów; dwaj z nich spali już tam na dnie stawu, na trzeciego teraz nadeszła kolej. Poszedł on do czarnego byka i powiązał wraz z nim dwanaście wołów rogami, końcem zaś sznura okręcił siebie i silnie się opasał, a klepiąc po karku byka, rzekł:

— Dobry sługo — czworonogi sługo — i ja pójdę na połów rusałek; wywabię je na brzeg, a gdy zawołam „hop! hop! w imię Boga" wtedy wy z całych sił pociągnijcie mnie ku sobie; zobaczym czy nie wyłowimy rusałek.

Księżyc właśnie wyjrzał z za chmur, pasterz zaś usiadł pod jaworem i grał na piszczałce, gdy wtem z wody wypłynęła najpiękniejsza rusałka.

Na głowie miała wieniec z niezapominajek i oczka jak niezapominajki, takie wdzięczne; takie uśmiechnięte! lice jak pączek bladej różyczki, kibić powiewną, a sukienkę z kwiatów tkaną.

Gdy młody pasterz ją spostrzegł, przestał grać, lecz śmiało ją zagadnął:

— Rusałeczko piękna moja, przyjdź tu do mnie.

Zal jej było biednego chłopca i rzekła dźwięcznym głosikiem:

— Idź ztąd ładny chłopczyku, myśmy nie dla ciebie stworzone, lepiej byś mię nie widział.

— Bez ciebie nie pójdę — odpowie jej pasterz.

— Czegóż pragniesz odemnie — jeśli chcesz dyament mój złoty, oddam ci go, oddam ci mój sznurek pereł, oddam ci mój pas złocisty; i wtem na brzeg wyrzuca pas, perły i dyamenty.

Chłopiec nie ruszył się.

— Nie chcę ja twych pereł i złota, ciebie tylko mieć pragnę. Zaniosę cię do mej matki, a tak cię chować będziemy jak ptaszki pod niebem.

Rusałka smętna popłynęła do brzegu, podała rączkę pasterzowi, a ten uchwyciwszy ją szybko w objęcia, zawołał: Hop! hop! w imię Boga!

Lecz mogłoby go ciągnąć i dwanaście razy dwanaście wołów a wszystko byłoby daremne; gdyby rusałka sama wyjść nie była chciała, byłby poszedł za nią na dno stawu.

Gdy zielony król spostrzegł, że wysłana córka jest już w mocy młodzieńca, wysłał cały legion wodnych potworów wraz z córkami, które uczepiwszy się nóg rusałki, ciągnęły ją napowrót. Ale nadaremnie — rusałka była już własnością pasterza.

Staw przez całą noc burzył się; zdawało się, że kipi.

Pasterz usadowił swą zdobycz na grzbiecie wołu, i pospieszył do domu.

Jakaż to była uciecha, gby rodzice spostrzegli wracającego syna z tak piękną rusałką.

Staruszka matka natychmiast przebrała ją w sukienkę taką, jaką wszystkie dziewice szeklerskie nosiły.

I już nikt nie wątpił, że to nie wodna lecz ziemska dziewica; kwiateczki tylko gdy się do nich zbliżyła rusałka w skwarne lato, uczuwały jej roskoszne tchnienie i wnet budziły się z om dlenia.

Urodził się jej synek; zaledwo to maleństwo ujrzało światło dzienne, uchwyciła go rusałka za małe nóżki i zanurzyła je w wielkiej kadzi w wodę; malec radośnie pluskał się, a wtedy rusałka wpuściła go do wody, a dziecię pływać poczęło.

Nikt tego nie widział, bo jak tylko kto wszedł, chwytała go i powijała w pieluszki.

Lecz kiedykolwiek była sama, wpuszczała dziecinę do wody a malec z uciechą pluskał się. Pierwej umiał on pływać, nim się chodzić nauczył.

W siódmym roku życia przepłynął już z swobodą staw św. Anny, wydobył z wody złoty puhar, a ile razy zanurzył się na dno, wydobywał ztamtąd najrozmaitsze dziwotwory i kwiatki wodne, które do matki przynosił.

Lud nazwał go cudownym nurkiem.

Tak mijały lata, chłopczyk urosł na męża; kto był młodzieńcem, ten stał się starcem, stary pustelnik już dawno poszedł z kapliczki swojej do innej promiennej kaplicy, gdzie serafiny dzwonią; o zgubionym dzwonie dawno już zapomniano, i stało się zwyczajem, że uderzano młoteczkiem w deskę zawieszaną na dzwonnicy na znak zgromadzenia się ludu na modlitwę.

Tylko twarzyczka rusałki nie mieniła się i była tak wdzięczna i młoda, że się zdawało, jakoby jej syn był jej ojcem, a nie synem.

Był rok straszliwej posuchy, daremnie modlił się lud w wszystkich kościołach i wzywał nieba o deszcz — plaga nie minęła.

Staw wylał i niezmiernie wodami napełnił się. W pewnym dniu tej plagi wyprowadziła rusałka syna na brzeg stawu i tajemnice wód tak mu opowiedziała:

— „Tu na dnie morskiego oka mieszka mój ojciec — król wód w kryształowym pałacu. Mam ja trzy siostry — wszystkie z innej matki. Pierwszej matką była chmura, drugiej potok, moją zaś była niebieska rosa. Ojciec mój stary, gniewny król wód — więzi nasze matki — chmurę, rosę i potoki; patrz, jak wylał staw z tego powodu. Ziemia usycha bez deszczu; wysycha każde źródło. Idź tam synu do kryształowego pałacu; oto masz laseczkę, którą uderzaj wszystkich, którzy ośmielą się drogę ci zastąpić, nikogo nie bój się; potwory wodne uciekać będą przed tobą, jeśli śmiało iść będziesz uderzając wszystkich laską. Tam ujrzysz pałac kryształowy składający się z tysiąca sal, zdobnych w dyamenty, rubiny i szmaragdy. U każdych drzwi spotkasz skrzydlate potwory strzegące wejścia; nie bój się ich, lecz uderzaj laską śmiało, a skamienieją pod twoim razem. Gdy sto sal przejdziesz, wejdziesz do sypialni królewskiej, wykładanej perłową macicą; w szmaragdowych wazonach rosną tam w oknie kwiatki dyamentowe, rodzące złote owoce; łoże króla utkane z jedwabnej pajęczyny, spoczywa na wielkich wodnych kwiatach, a na nich skaczą z listeczka na listek maleńkie, różowe, śpiewające żabki, które się bawią małemi błękitnemi jaszczureczkami. W pośrodku wznosi się kryształowa miednica, z której tryska fontanna z gardziołka złotej rybki.

Dalej jest koncha, w której umieszczony jest tron królewski, podpierają go cztery delfiny; na nim siedzi srebrno-brody król wód; — ma z zielonego aksamitu suknię, a srebrny wąż zamiast pasa opasuje mu biodra. Dwie siostry jego wachlują go skrzelami z ryb. Nie bój się go, on się ciebie przestraszy; żaden śmiertelny tam nie był; król i siostry pochlebiać ci będą, wprowadzą cię do skarbca, gdzie pełno srebra, złota, drogich kamieni i prawdziwych pereł, będą ci je ofiarować; — ty niczego nie tykaj, — bo ujrzysz tam kilka słojów szklannych; tych żądaj. Nie są one próżne, bo tam uwięziony jest duch wód, a także i dusze twoich dwóch wujów, których me siostry zabiły, i dusze z nich wyssały, a potem do słojów zamknęły. Gdy je otrzymasz, zaprowadzą cię do innego skarbca, gdzie pełno złotych naczyń, puharów, miednic, dzbanków; na widok ten, aż się w oczach mieni. Ty nic z tego nie bierz, lecz ujrzysz tam w kącie dzwon, pleśnią i rdzą pokryty, tego żądaj. Jeśli się wzbraniać będą, powiedz, że uderzysz w ten dzwon, a wszystko ci oddadzą. Gdy go już otrzymasz, uważaj, byś przypadkiem nie zadzwonił, póki się z wód nie wydobędziesz, a potem uderz weń trzy razy w imię Boga. Wtedy już pracę swą wykonałeś".

Cudowny nurek usłuchał matkę rusałkę, i rzucił się do stawu.

Natychmiast otoczyły go wodne potwory o czterokątnych głowach, postacie o ognistych oczach nieforemne, bezkształtne zwierzęta, z długiemi szyjami, o głowach wielbłądzich, łapach na kształt pletw, djabliki z końskiemi łbami, wijące się w zygzak węże, robactwo wodne i niezliczone zwierzątka, które kąsają, szczypią, łechcą, krew wyssają, i zwierzątka na kształt roślin o stu rozpuszczonych ramionach, które okręcają nieprzyjaciela i pociągają w otchłanie.

Cudowny nurek nie nastraszył się potworów, śmiało uderzył laską w sturamienne zwierzęta, a te z boleści ściągnąwszy swe członki, ukrywały się.

Cały podwodny świat jęczał z przerażenia: wtem nurek usiadł na grzbiet jednego potwora i kazał się zawieść do pałacu zielonego króla. Stary król drzemał właśnie na swojem łożu; obudził go krok cudownego nurka.

— Kto się ośmielił wejść tutaj? zawołał, uchwyciwszy za berło ze złotych lilij; lecz nurek śmiało wytrącił mu berło swą laską i uchwycił go za ramię; król wrzasnął tak głośno, że tam w górze wody i ziemia zawrzały. Potwory i rusałki upadły do nóg młodziana aby się nad niemi zlitował; a raczej niech sobie zabierze cały skarbiec i wszystko, czego zapragnie.

—Nie chcę ani waszego złota ani srebra — odrzekł nurek — oddajcie mi moich wujów i młodzieńców, których dusze tu więzicie — zdradliwe rusałki.

Wnet przyniesiono szklanne słoiki; nurek otworzył je, a z każdego wypłynął na wierzch wody bukiet z kwiatów.

Rusałki pochlebiając młodzieńcowi, objęły go miękkiemi ramionami i prosiły, by jadł i pił z niemi, a potem napełniwszy kieszenie srebrem i złotem, powrócił do swej matki.

— Nie chce ja waszych skarbów; do Boga należy to, po co tu przyszedłem. Oddajcie mi dzwon, który zabrałyście.

Zajęczały wszystkie rusałki, a zielona broda starego króla w oczach urosła o łokieć.

Nurek znalazł dzwon oczyścił go z rdzy i pleśni i wyniósł z kryształowego pałacu.

Za pierwszem uderzeniem runął pałac króla a z dyamentów pozostały tylko marne gruzy.

Za drugiem zapadły w tajemne otchłanie ogromy wylanych wód, jak gdyby wcale nie istniały.

Za trzeciem wypłynęły złote rybki i stara zielona żaba — to były rusałki i król.

I teraz w takiej żyją postaci.

Gdy na powierzchnię stawu wypłynął młodzieniec, ujrzał dwanaście łabędzi pływających na wodzie. — Dwa z nich przypłynęły z radością do niego, objęły skrzydłami i ucałowały go; potem się podniosły do lotu, i śpiewając — uleciały daleko — daleko — może aż do nieba.

Wróciwszy do domu, zastał tam nurek starego pasterza, którego nigdy przedtem nie widział.

Szedł on przed wołami z dzwonkiem u szyi. On to utopił dzwon, który wydobył cudowny nurek; pasterz ukląkł przed młodzieńcem i całował go ze łzami w oczach.

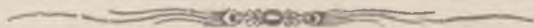
Gdy młodzieniec powrócił do chaty, przywitała się z nim staruszka oparta na rękach jego ojca, ucałowała go i uściskała, a ten się zapytał zdziwiony, kto jest ta staruszka.

— To twoja matka — odpowiada mu ojciec — gdy ciebie nie było, w oczach moich się zestarzała, ot teraz odpowiedniejsi jesteśmy dla siebie — tak umrzemy razem. Matka młodzieńca przestała być rusałką, gdy jej syn zniszczył przybytek rusałek.

Zawieszono znów dzwon na wieży i znowu cieszył się lud i zgromadzali się pielgrzymi do stawu św. Anny.

Jeżeli są jeszcze gdzie rusałki, mogą śmiało zamieszkać opustoszałe miejsce oka morskiego, nie ma tam już dzwonu ani pieśni psalmów około stawu św. Anny. Tylko ten niczem nie zamącony szept zefiru opowiada bajarzowi, że tu niegdyś rusałki mieszkały.

(Koniec.)



OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Zabawił tam więcej niż pół godziny, szukając wśród imion, które tam, jak panu wspomniałem, dzieciaki nożykami powyrzeźbiali. Radbym wiedzieć, jakiego tam szukał nazwiska... bo przecież nie swojego; jednak... — dodał starzec tonem niepewnego wachania.

Henrykowi serce silnie bić zaczęło. Słyszał często od swojego stryja, że on i brat jego, wyrzeźbili swoje imiona na wewnętrznej stronie galeryi kościelnej, kiedy jeszcze małymi byli chłopakami.

— Mógłże to on być? — pomyślał młody Ashton, — ale nie, to zbyt niedorzeczny pomysł!

— Czy nie zauważyłeś nic więcej? — zapytał Marcina.

— To już wszystko, — odparł staruszek, — prócz tego, że schodząc z chórku ocierał sobie oczy piękną chustką złotem przetykaną. Ale to chyba z kurzu, bo wcale nie wygląda na człowieka, który łzę ociera.

Wiedzeni ciekawością, wszyscy trzej udali się na galeryę, która istotnie nosiła liczne ślady nożyków, jakiemi swawolne chłopięta pokaleczyły twardą dębową ścianę. Szukając długo pomiędzy hieroglifami, których znaczenia już zapomniano, Henryk znalazł nareszcie imiona Filipa i Macieja Ashton, otoczone niezgrabnem obwiedzeniem dokoła. Stary dojeżdżacz z radością pokazał im swoje nazwisko, które czas prawie już zatarł, i wyjmując nożyk z kieszeni, zaczął głębiej wycinać głoski składające jego imię.

— Oto również świeżo odnowione nazwisko, — rzekł Walter Mowbray.

— Towarzysz jego zbliżył się i przeczytali wyrazy: „Ryszard Musgrove."

— Ryszard Musgrove! — powtórzył kochanek Elleny, — pewny jestem, że już słyszałem gdzieś to imię!

— To rzecz bardzo mozliwa, — powiedział starzec, — Musgrove było nazwisko pewnej wdowy, która z swoim synem Ryszardem mieszkała w dworku twojego stryja, panie Henryku, temu już bardzo dawno, jeszcze ciebie na świecie nie było?

— Może to ten nieznajomy?

— To nie mógłby być Ryszard Musgrove, którego sobie bardzo dobrze przypominam. Był to młodzian piękny i słuszny, blondyn z błękitnemi oczyma. Już blizko temu lat trzydzieści, jak opuścił wieś naszą, by w obcych krajach szukać losu.

— Czy nigdy nie powrócił? — zapytał Henry.

— Nigdy! Jego matka umarła niezadługo po jego odjeździe i pochowano ją naprzeciwko południowego przysionka świątyni.

Przekonawszy się, że Ryszard Musgrove, a nieznajomy we wschodnim stroju starzec, nie

jest jedną i tą samą osobą, zeszli z galeryi i udali się do chóru, gdzie Dick Martin pokazywał Walterowi Mowbray groby i pomniki jego naddziadów.

— Ród to był dzielny, — rzekł sędziwy sługa, — szkoda byłoby, gdyby miał wygasnąć!

Właśnie zaczęła bić objadowa godzina, gdy młodzi ludzie wrócili do zamku.

XIX.

Ludzkość jest dziwną zagadką! Powiadają, że pewien wielki muzyk nie inaczej zabierał się do nowego utworu, jak w stroju galowym, i włożywszy na palec pierścień z kosztownym dyamentem, otrzymanym w darze od cesarzowej Maryi Teresy. Rembandt i Correggio nie malowali inaczej, tylko w ciemnej bardzo komnacie, gdzie światło dzienne ledwie dochodziło; zaś stary Dick Martin nie mógł gdzie indziej zebrać myśli, jak tylko w stajni. Tam dopiero czuł, że jest w domu, u siebie, tam się usuwał, ilekroć go co gniewało lub niepokoiło. Różne wyobrażenia i wspomnienia zaczęły mu się snuć po głowie, a wszystko to odnosiło się do spotkanego cudzoziemca, którego bytność w kościołku, ciekawość jego obudziła; ale ani na chwilę nie mógł tych różnorodnych obrazów w całość pewną ułożyć.

— Mniejsza o to! — mruczał pod nosem przechodząc przez dziedziniec, aby się dostać do ulubionego schronienia, o którem domownicy zwykle mówili, że równie byłoby niebezpiecznie chcieć go ztamtąd wywabić, jak ręką schwytać borsuka i wyciągnąć z nory. — Mniejsza o to! wszystko to w stajni ułoży się i uporządkuje!

Czas pokaże nam, czy rachuby nie omyliły starego masztalerza.

Jak większość ludzi mało mówiących, Dick Martin był wielkim postrzegaczem i niemym kronikarzem wszystkiego, co się wydarzyło w obrębie ulegającym jego władzy. Pamiętał imiona i dzieje wszystkich koni w stadninie Mowbray'ów z trzech ostatnich pokoleń. Było tam jedno siodło, które miał w wielkiem poszanowaniu, bo służyło jeszcze Nemrodowi tej rodziny, dziadowi sir Williama, pod którego przewodnictwem Dick pierwszą odbył wyprawę myśliwską. Nikt nie śmiał tknąć się tej pamiątki.

Kiedy tak poczciwy starzec, zamknięty w swej stajni, zajmuje się zebraniem cisnących się w nieładzie myśli swoich, musimy tymczasem prosić naszych czytelników, aby wraz z nami udali się do salonu zamkowego, dokąd po skończonym obiedzie wszedł baronet z gośćmi swoimi.

— Cóż sądzisz o moim bratanku? — zapytał sir William swojego młodego przyjaciela, spoglądając na Waltera, który szybkie czynił postępy w łaskach swej siostry ciotecznej, rozmawiając z nią w sposób życzliwy o jej ukochanym.

— Mniemam, że godzien tego szczęścia być twoim bratankiem, sir Williamie. Znam go dopiero od kilku godzin, a już jestem z nim jak z przyjacielem najdawniejszym. Dusza jego jest jak stronnica pięknej książki, można odczytać ją za pierwszem spojrzeniem. Jestem pewny, Williamie, że go pokochasz serdecznie, skoro go lepiej poznasz.

Żywość słów młodego Ashtona wywołała uśmiech dobrotliwy na usta baroneta. Inny byłby zazdrosny względem nowego przybysza; Henryk zaś wzniósł się nad wszelkie uczucie samolubstwa.

— Cieszy mnie to, żeś go polubił; to już popiera moje pierwsze wrażenie; do tej chwili żadnego jeszcze sądu o nim nie wydałem we własnem przekonaniu. Przezorność jest jedną z gorzkich nauk doświadczenia! W młodości słuchamy chciwie i kochamy niezwłocznie tych, co nam mówią o przyjaźni i miłości; dopiero kiedy doznane kilkakrotnie zdrady i wiarołomstwa wysuszą nam serce, stajemy się głuchymi na te złudne podszepty.

— Jeżeli niedowierzanie drugim, jest tą mądrością, jakiej udziela doświadczenie, — rzekł Henryk z westchnieniem, — daj Boże abym nie nabył tej zalety.

— Życzę ci tego! bo mądrość tylko srogiemi cierpieniami się okupia. Co się tyczy mojego bratanka, przyznaję, żem dotąd zaniedbywał może moich obowiązków względem niego, jakie na mnie wkłada węzeł blizkiego pokrewieństwa, które nas łączy; lecz nie jest za późno do wynagrodzenia mojej dotychczasowej obojętności, jeżeli, jak się spodziewam, okaże się godnym mojej życzliwości.

— Na to bym przysiągł! — zawołał Henryk. — Wolę zaufać wrażeniom i sympatyi

młodego wieku, niż zimnym naukom doświadczenia.

Przez dalszy ciąg wieczora, baronet nie przestawał baczne zwracać oko na swojego bratanka, który gdyby był poprzednio ułożył sobie sposób postępowania zdolny do zjednania mu względów stryja, nie potrafiłby był lepiej tego dokonać, tak jego znalezienie się było swobodne i naturalne, uprzejme bez usiłowania, aby się podobać, i poufałe bez żadnego zuchwalstwa.

Jedna rzecz nadewszystko podobała się jego bogatemu stryjowi. Kiedy Ellena obiecała wujecznemu bratu pokazać następnego poranku jezioro i najpiękniejsze miejsca w zwierzyńcu, ten nakierował wycieczkę w taki sposób, żeby i wybawca młodej panienki wziął w niej udział; a gdy o dosyć spóźnionej porze, Henryk z żalem ich żegnał, Walter wyraził chęć odprowadzenia go do budki odźwiernego, i z gotowością serdecznego przyjaciela wyszedł z nim razem.

— Jakże to dobrze! — pomyślał baronet, — godni są żyć w przyjaźni z sobą. — I cóż Elleno, — rzekł do niej głośno, — poznałaś krewnego?

— Powiedz raczej brata! — odpowiedziała z uniesieniem. — Nie uwierzysz, drogi wuju, jaki on dobry i tkliwy jak do ciebie podobny! nie usłyszałam z ust jego żadnego wyrazu, któregobym nie chciała pamiętać.

— Możeś w nim wielbiciela znalazła? — rzekł poważnie sir William.

Spłoniła się młoda dziewica i zastanowiła się przez kilka chwil.

— Walter nie ma dla mnie takiego uczucia, — odpowiedziała wreszcie. — Jestem pewną, że mi nie zrobi tej przykrości, aby się we mnie zakochał... Gdyśmy sobie dobrej nocy życzyli, mogłabym była ucałować go, nim mnie o to prosił, czegoby zapewne nie uczyniła, gdyby najmniejszy cień takiej miłości, o jakiej mówisz, istniał w jego sercu.

— A dla czegożby tego nie miał uczynić?

— Bo takie żądanie byłoby ubliżeniem dla mnie, — odparła Ellena z dumą. — Na ten raz więc omyliłeś się, kochany wuju, — dodała patrząc na niego z uśmiechem szczerego przywiązania, — kuzyn Walter nie jest we mnie zakochany!

— A ten młody człowiek, który był z moim bratem, ten towarzysz twych lat dziecięcych, twój najpierwszy przyjaciel, czy o nim to samo powiedzieć możesz?

— Nie mówił mi nigdy o miłości, ale obawiam się, że o tem myśli...

— Więc lękasz się tego?

— Naturalnie, że tak. Czyż może być większe nieszczęście, jak wzbudzić namiętną miłość w osobie dla której nie doznajemy wzajemnie tego uczucia? Mieć przekonanie, że ją ustawicznie zasmucamy, być zmuszoną ważyć każde słowo z obawy, aby je fałszywie nie tłumaczono, mieć na baczności wyrażenie swych myśli i uczuć, wszak to prawdziwa męczarnia? Miran z natury jest dobry i wspaniałomyślny, a uważałeś jak był niesprawiedliwym wskutek swego szaleństwa!

— Słusznie mówisz, moje dziecię, — rzekł wuj uradowany jej prostotą i otwartością, — miłość, której odwzajemnić nie możemy, jest rzeczywiście nieszczęściem, i dla zabezpieczenia cię od podobnej przykrości, uwiadomię sam twojego wujecznego brata, że jesteś narzeczoną Henryka Ashton. Co do twojego indyjskiego wielbiciela, zdaje mi się, że ostrzeżenie byłoby zapóźne.

Sierota była także tego zdania; ale sir William nie przedłużał już rozmowy i ucałowawszy siostrzenicę, powiedział jej dobranoc.

Dwaj młodzi towarzysze wychodząc z zamku, zeszli się z Marcinem, który dopiero co opuścił swoje ulubione schronienie.

— Jakżeż tam Marcinie! — zawołał Henryk znający dobrze jego usposobienie, — czy roztrzygnąłeś w twojem mniemaniu, kto jest ten tajemniczy jegomość, którego spotkaliśmy w kościele?

— I tak i nie, — odpowiedział stary, gładząc ręką swoje rzadkie i siwe włosy, jakby tym sposobem chciał przyjść w pomoc swoim myślom. — Wszystko zależy od jednej rzeczy.

— Od czegoż przecie?

— Oto idzie, czy on mówi po angielsku... w tym razie założyłbym się o wszystko w świecie, że go nazwę po imieniu.

— Możesz nam przynajmniej powiedzieć, — rzekł Henryk, — kogo się w nim domyślasz?

Staruszek pokiwał głową i odrzekl krótko:

— Nie!

Henryk Ashton nie próbował nawet nale-

gać, aby im wynurzył swe zdanie o nieznajomym. Wyraz *nie* Dick Martina poszedł w przysłowie u wszystkich domowników baroneta. Znano dobrze, iż nie zwykł zmienić swojego postanowienia.

Doszedłszy do mieszkania stróża, młodzieńcy zachwyceni sobą wzajemnie, rozstali się. Walter udał się napowrót do zamku. Henryk zaś podążył ku folwarkowi stryja. Przechodząc przez błonie, które służyło za pastwisko dla bydła gromadzkiego, zdawało mu się, że słyszy za sobą szelest kroków.

Zatrzymał się nawet chwilę chcąc wołać, ale mu nikt nie odpowiedział.

— Jakże nas czasem wyobraźnia w śmiesznych szaleńców zamienia! — szepnął sam do siebie.

Właśnie stanął w miejscu, gdzie się droga dzieliła, prowadząc z jednej strony do folwarku, a z drugiej do plebanii, gdy jakaś istota, skulona poprzednio u stóp drogoskazu, nagle się podniosła. Henryk miał się na baczności, nie wiedząc kto to taki.

— Dla Boga! master Harry, czy mnie nie poznajesz?

Był to Joe Beans, wierny poufnik naszego bohatera.

— Toś ty, Joe! — zawołał, — cóż cię tu sprowadza?

— Ot tak czegoś byłem niespokojny. Czułem potrzebę zobaczyć się z tobą, master Harry, i tak tylko konie robocze do stajni zaprowadziłem, pospieszyłem, aby tu na ciebie czekać. Wiedziałem dobrze, iż cię spotkam w tem miejscu, gdzieśmy to dawniej na króliki w zimie czatowali. Sławna to była rozrywka, nie prawdaż?

— Ale dla czegoż tak byłeś niespokojny, jak mówisz? — zapytał młody Ashton, który oddawna już się przekonał, że Joe nie był tak prostoduszny jak mniemano.

— Chodź tędy, master Harry, tędy, a ja ci wszystko opowiem.

Udając się wązką ścieżką, prowadzącą do ornych gruntów, Joe postępował w milczeniu. Zbliżyli się nareszcie do chaty, zamieszkałej przez jednego z dozorców królikarni. Domek ten znano powszechnie pod nazwą: Ustronie.

— Tam! wszyscy są tam zgromadzeni! — rzekł z uśmiechem zadowolenia, — wyszpiegowałem ich.

— Kogoż to?

— Przypatrz się przez szparę w okiennicy, to zobaczysz.

Henryk posłuchał tej rady i ujrzał z wielkiem zadziwieniem pułkownika Mowbray, Miran-Hafaza i Zarę, zgromadzonych w chacie dozorcy.

XX.

Domek, powszechnie zwany Ustroniem, zajmowany przez Willa Sideler, dozorcę królikarni, leżał w głębi wąwozu, przedzielającego obszar gruntów do gminy należących na dwie równe prawie połowy. Do tego mieszkania prowadziła drożyna wązka i kręta, tak ukryta wśród krzaków i zarośli, że nieznajomy miejscowości, z trudnościąby ją dostrzegli. Ściany parowu ocienione były głogiem i karłowatemi jodłami, którym grunt kamienisty nie wiele soków pożywnych mógł dostarczać.

Chata zbudowana z cegieł i krzemieni, podzielona była wewnątrz na trzy izdebki, i do większej połowy zasłonięta bluszczem i innemi pasożytnemi roślinami, dokoła ją obrastającemi. Jakkowiek małych rozmiarów, była jeszcze za obszerna dla swego mieszkańca, który nie będąc żonatym, i nie mając najlepszej sławy w sąsiedztwie, mało przyjmował odwiedzin. Słowem, była to kryjówka osamotniona, w której zbrodniarz mógłby knuć bezecne zamiary, albo odludek kryć się przed społeczeństwem ludzi.

Will, dozorca królikarni, mężczyzna wysokiego wzrostu, ostrych rysów twarzy, mający około lat sześćdziesięciu, z wzrokiem bystrym, mimo podeszłego wieku, zachował jeszcze wiele siły i żywości. Prosto się trzymał, i chód miał pewny, choć niby skradający się. Idąc za nim, można było mieć go za znacznie młodszego niż był w istocie. Skład jego budowy był żylasty i kościsty; nie było na nim uncyi ciała zbytecznego.

W młodości swojej był strażnikiem leśnym w obszarach Carrowa, ale sir William wkrótce po objęciu tej majętności, odprawił go z powodu jego grubijańskiego zachowania się i gwałtownego usposobienia, które go czyniły postrachem wszystkich domowników; jednego dnia, w przystępie niepochamowanej złości, rzucił się z dobytym nożem w ręku, na Marcina dojeżdżacza. Za wstawieniem się pułkownika, brata swego, baronet dał się przebłagać, choć nie-

chętnie, mianował go nadzorcą królikarni, ostrzegając jednak, że go wypędzi za najpierwszym objawem gwałtowności bądź przeciw Marcinowi, bądź przeciw innemu ze sług dworskich.

Will Sideler znał dostatecznie stałość charakteru sir Williama i nie wątpił, że uskuteczni swą groźbę, skoroby dał najmniejszy powód do skargi. Nie mogąc ręczyć za swój temperament opryskliwy, postanowił unikać wszelkiej sposobności do zaczepki, i dla tego skoro został przyjęty do królikarni, przestał bywać w karczmie, bojąc się spotkania z dawnymi towarzyszami służby i siedział samotny w chacie, wraz ze swemi złośliwemi pomysłami.

Henryk Ashton zaledwie mógł powstrzymać okrzyk zadziwienia, poznawszy gromadkę zebraną w małej izbie. Will stojąc w kącie, czyścił strzelbę starannie; pułkownik, Miran i ayah, siedząc przy ogniu, rozpalonym na kominie, zajęci byli rozmową, ale tak cicho mówili, że ucho Henryka zaledwie słowa pojedyńcze lub oderwane okresy uchwycić było w stanie. Pierwszym popędem młodzieńca była chęć oddalenia się niezwłocznie, bo się wstydził tego podsłuchiwania, ale imię jego i Elleny wymówione przez Indyanina, wstrzymało go na miejscu.

Henryk wiedział, że był przedmiotem nienawiści Zary; jej ponure spojrzenia kiedy go napotkała, i uporczywa zawiść, z jaką niejednokrotnie śledziła kroków swej pani, nie zostawiały mu żadnej wątpliwości pod tym względem. Wiedział też o tem, że Miran był jego rywalem. Ale jakiż powód mógł skłaniać pułkownika do sprzymierzania się z nim przeciw Henrykowi Ashton? Oto czego nie pojmował i o czem radby się był dowiedzieć.

— No i jakże, master Harry, — szepnął Joe, — cóż myślisz o tem?

Młodzian dał mu znak ręką aby milczał; właśnie usłyszał swoje imię z ust Mirana.

— Jutro mój los się rozstrzygnie, — mówił Indyanin. Chcę dowiedzieć się z ust Elleny, czyli istotnie kocha tego chłopaka bez urodzenia, któremu łaskawość zdziecinniałego samotnika i fałszywie pojmowana wdzięczność ze strony jego wychowanicy głowę zawróciły, upajając go próżnością i zarozumiałemi nadziejami.

— Ona go kocha, — przemówiła ayah. — Zamieniali z sobą wyrazy, które nie zwykły wyjść z pamięci. Gdy on się zbliża, Ellena poznaje z daleka szelest jego kroków, ściga go wzrokiem marzącym i tęsknym jak odchodzi, to wszystko objawia jej miłość ku niemu.

— Potrzeba raz skończyć z tym prostakiem, zabić go trzeba! zabrał głos pułkownik. — Kiedy ten dureń śmie stawiać się na równi z przyzwoitymi ludźmi, najłatwiej będzie wszcząć z nim zaczepkę...

Miran odpowiedział na to gorzkim uśmiechem.

— W ten sposób straciłbyś Ellenę na wieki, — rzekła mu ayah, — należy go poniżyć, upokorzyć, zgnieść w obec Elleny, pokazać jej, z jakiego błota ulepiony jest nikczemny przedmiot jej miłości; ona jest równie dumna jak piękna i dobra; gdyby umarł, czciłaby jego pamięć; ale natchnij ją pogardą ku niemu, a złudne to uczucie zatrze się w jej sercu, jak rosa wysycha na kwiatkach, skoro słońce wzniesie się nad widnokręgiem.

— Ma słuszność! — zawołał Miran, — rzeczywiście, dobrze Zara sądzi. Tak wyszydzę tego podłego niewolnika, tak go znieważę i zdepcę, że Ellena rumienić się będzie swego niegodnego w nim upodobania.

Gdyby Indyanin mógł był widzieć ogniste spojrzenie i wzgardliwy uśmiech Henryka Ashton w tej chwili, byłby porzucił swój zamiar jako nieużyteczny. Mógł go pozbawić życia, ale zhańbić i poniżyć nigdy; bo Henryk miał serce wspaniałe, odwagę również niepokonaną jak on sam.

— Chodźmy ztąd, — rzekł młody Ashton do swego wiernego towarzysza, — dosyć słyszałem!

— A zrozumiałeś o co im chodzi? — zapytał Joe, torując sobie przejście wśród zarośli, aby się dostać na łąkę.

— O, już wiem, szepnął młodzian, — ale ostrzeżony, jestem już uzbrojony przeciw nim... Dziękuję ci, Joe, — dodał ściskając serdecznie jego rękę, — wyświadczyłeś mi przysługę nieocenioną.

— Czy doprawdy? — zapytał Joe coraz bardziej zdziwiony.

— Przysługę, której ci nie potrafię wynagrodzić nigdy.

— Nie mówże mi o wynagrodzeniu, master Harry; czyżeś nie nauczył mnie czytać i pisać, wieczorami, kiedym barany zapędził do owczarni i pokończył moją robotę? a jak się gospodarz gniewał na mnie, któż, jak nie ty, wstawiałeś

się za mną by go ułagodzić? Nagrody! — powtórzył, uderzając ręką po swej szerokiej piersi, — czyliż serce moje żąda nagrody!

Henryk nie nalegał już pod tym względem; pojmował co chciał powiedzieć Joe, który nie umiał wyobrazić sobie nagrody innej jak pieniężną.

— Musisz mi jedną rzecz przyrzec, — powiedział mu po niejakiej przerwie.

-- Najchętniej, choćby i dziesięć; ale cóż takiego?

— Oto, abyś milczał zupełnie o tem, co się tej nocy nam wydarzyło... mam do tego ważne przyczyny.

Joe chętnie zgodził się na to. Zresztą było to dla niego ulgą zapomnieć o tej przygodzie, bo nie rozumiejąc o co chodziło, uniknął kłopotu zastanawiania się nad tem.

Kiedy zdążyli do dworku, starzy małżonkowie już spali oddawna. Henryk pożegnał wiernego sługę i udał się do swego pokoju, zostawiając Joego w towarzystwie porządnej porcyi kapuśniaku z wieprzowiną, którym po tej nocnej wyprawie zaczął się pokrzepiać.

Ale sen nie spieszył się przymknąć powieki młodego przyjaciela Elleny. Rozmowa podsłuchana w chacie strażnika przekonała go, że ma rywala i wroga; znajdował się w położeniu szermierza który niecierpliwie wygląda chwil walki.

— Ha! chce mię poniżyć, — powtarzał — upokorzyć swoją wzgardą, znieważyć wobec Elleny!... A więc zobaczymy! Jeżeli moje nazwisko nie jest jeszcze zapisane w archiwach szlachectwa, to serce moje przynajmniej jest szlachetnem, i gardziłoby wynoszeniem się z wyższości urodzenia, nawet przeciwko nieprzyjacielowi! On chce mnie poniżyć, ten pyszny zarozumialec! człowiek sam siebie tylko podłemi postępkami poniżyć może!

Zaledwie dnieć poczynało, Henryk zerwał się z łóżka, na które się był położył, by noc bezsennie przemarzyć. Potem otworzywszy sekretarzyk naprzeciw okna stojący, wydobył ze szufladki parę pistoletów wykwintnej roboty, które, jak twierdził zacny rolnik, należały niegdyś do jego ojca. Oglądnął starannie zamek; może przeczuwał, że ich wkrótce potrzebować będzie. Zadowolony, że znalazł je w dobrym stanie, zabrał z sobą proch i kule, i wyszedł, nim jeszcze kto w domu się obudził.

Kiedy w kilka godzin później mistress Ashton zeszła do kuchni, najpierwej pytała się o swojego wychowanka, ale nikt z domowników go nie widział. To ją mocno zadziwiło, poprzednio bowiem chodziła do jego pokoju, aby go zawołać, i zastała łóżko rozesłane, co dowodziło, że noc w domu przepędził.

— Niech jejmość się uspokoi, — rzekł jej Joe Beans, — zdaje mi się, że zgadnę gdzie go szukać.

— A gdzież się znajduje?

— Na końcu sadu, tam na dole od parkanu. Master Harry niezawodnie wystrasza gawrony. Słyszy jejmość? to pewnie on strzela... ale... to dziwna rzecz, to przecież nie jest huk jego starej strzelby...

— Nie ma z sobą strzelby, widziałam ją u niego w pokoju.

Gdy tak gubili się w domysłach, nasz bohater, wyczerpawszy swój zapas nabojów, powracał, aby sobie nowy przynieść.

— Miłosierny Boże! — zawołała stryjenka, ujrzawszy go wchodzącego z pistoletami w ręku. — Harry! cóżeś ty chodził robić z temi zabójczemi narzędziami?

— Chciałem je spróbować, — odpowiedział młodzieniec, całując ją czule. — Już dawno leżą te pistolety nie używane, lękałem się, czy nie zardzewiały przypadkiem.

Pomimo niecierpliwej chęci powrócenia do sadu, aby się wprawiać w trafianiu do tarczy, którą sobie urządził, Henryk musiał zostać przez czas śniadania, aby nie wzbudzić podejrzenia. Wiedział, że stryjenka, acz najlepsza w świecie istota, była z natury ciekawą, i że jedyny sposób odwrócenia jej pytań w jakimkolwiek względzie był ten, aby jej uwagę na inny przedmiot ściągnąć.

Przypominając sobie zaszłą dniem wprzód przygodę w kościele w skutek bytności Khana, i opowiadanie starego Marcina o wdowie Musgrove i jej synie, że w dworku House-Farm mieszkali, umyślił wypytać panią Ashton o nich.

— Stryjenko, rzekł, czy przypominasz sobie rodzinę Musgrove?

— Czy ich pamiętam! zapewne, Harry! po śmierci starego, który był marszałkiem dworu w Carrow-Abbey, jego owdowiała żona i syn w wielkiem byli utrapieniu. Maciej wziął ich do siebie, a później dostarczył synowi środków by mógł się udać do Indyi, gdzie został ofice-

rem. Ale okazał się niewdzięcznym w pomyślności, i ani jednego szylinga nie zwrócił z tych pieniędzy, co mój mąż mu był pożyczył. Z tego też powodu stryj twój nigdy nie wspomina jego nazwiska; jak również i dla tego, że nie rad mówi o swych dobrych uczynkach, obawiając się, żeby to nie brano za chełpliwość. Ale cała wieś pamięta jak Maciej Ashton postąpił sobie z wdową i synem starego przyjaciela.

— I cóż się wreszcie z nimi stało?

— Wdowa, jak mniemano, umarła ze zmartwienia, jakie nieużytość i obojętność syna jej sprawiały, który poślubił jakąś bogatą Indyankę. Mam tu gdzieś wszystkie jego listy.

— To się ożenił z bogatą Indyanką! powtórzył Henryk nagłą myślą uderzony. — Daj mi te listy, kochana stryjenko.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PALMA KWIETNIOWA.

Powiastka.

Jednej niedzieli kwietniowej, dzierżawca maleńkiej wioski poszedł z żoną i starszemi dziećmi do poblizkiej wsi parafialnej na nabożeństwo; Anusię, najmłodszą córkę, zostawił w domu pod strażą starej Moniki. Wielkanoc obchodzono późno w tym roku, czas był piękny, ale droga do kościoła była błotnista, mała Anusia by jej przejść nie potrafiła. Rozsądna dziewczynka usłuchała rodziców bez szemrania, lubo miała wielką ochotę iść z nimi, a matka w nagrodę dała jej bułeczkę pszenną i śliwek suszonych.

Anusia schowała bułeczkę na potem, a jedząc śliwki po jednej, siedziała spokojnie obok starej Moniki, która wiele rzeczy świętych umiejąc opowiadać je lubiła. Mówiła tedy Monika dziewczynie o Zbawicielu, jak dziateczkom kazał przychodzić do siebie, jak im błogosławił; mówiła, jak dojrzałym już ludziom prostotę i niewinność dziecinną zalecał; mówiła, jak miłosiernym być kazał, jako powiedział: „Kto ubogiemu daje, mnie daje; a kto da się napić biednemu kubek zimnej wody, wielką nagrodę mieć będzie”. Mówiła jeszcze Monika Anusi, jako w dzień podobny dzisiejszemu, w niedzielę kwietniową, Zbawiciel wjazd swój odprawiał do miasta Jeruzalem, a wielu słało odzienia swoje na drodze, a drudzy rąbali gałązki z drzew palmowych i rzucali je przed nim; dla pamiątki czego i dziś palmy po kościołach święcą i do domów przynoszą.

Gdy już śliwek brakło, i Monika zajęta inną robotą opowiadań zaprzestała, Anusia wybiegła na podwórze pobawić się trochę z psem domowym; goniąc za nim przeszła wrota i na drugiej stronie drogi się ujrzała. Tam nad rowem rosły różne krzewiny, które już rozwijać się zaczynały; narwała sobie zieleniejących się gałązek, a dostrzegłszy kupki ziemi świeżo przez kreta poruszonej, wtykała weń gałązki w około i w środek, i cieszyła się, że ogródek swój mieć będzie. — Kiedy tak była zajęta, usłyszała dzwonek i wnet zobaczyła wychodzącego z za płota dziadka ubogiego, przy którym biegł piesek z dzwonkiem na szyi. Starzec szedł pomału drogą i zbliżając się ku Anusi, kij, na którym się opierał, wetknął właśnie w ogródek jej i kilka gałązek obalił.

— Moglibyście też uważać — powiedziała dziewczynka z płaczem — tyle jest miejsca na drodze, a wy mi ogródek psujecie.

Dziadek: Darujcie moja panienko, nie z umysłem tę szkodę zrobiłem, alem ślepy.

Anusia: Ślepy, a oczy macie otwarte?

Dziadek: Otwarteć są, ale nie widzą. Już dziesiąte lato mija, jak zawsze ciemno koło mnie. Gdyby nie pies mój, umarłbym z głodu, bo i chodzićbym po żebraczce nie mógł. Oto

tak i dziś, jeszczem nic nie jadł; byłem od rana w kościele, a teraz gdzie pójdę, to nikogo w domu nie masz.

Anusia: Usiądźcie tu sobie na trawie, a ja wam coś przyniosę.

I pobiegła dziewczynka do dworu, i wnet wróciła ze swoją bułeczką. — Widząc, jak dziadek zajadał smaczno, milszem jej się to zdawało, jak gdyby sama jadła, i przypomniały jej się słowa Zbawiciela: „Kto ubogiemu daje, mnie daje."

Dziadek: Gdybym jeszcze miał czem popić tę bułeczkę, choćby wodą zimną. Mamci kubek mój drewniany, ale nie wiem, kędy woda.

Anusia uradowana, że i drugie słowa Chrystusowe wypełnić będzie mogła, wzięła kubek i wnet pełnym go przyniosła. Dziadek wypił ze smakiem większą połowę wody, a resztę dał psu swemu z kawałkiem bułeczki, potem powiedział:

„Niech cię Bóg błogosławi, dobra panienko! rośnij zdrowo na chwałę jego i rodziców pociechę; oto mam w zanadrzu palmę dziś święconą, weź ją odemnie, nic innego dać ci nie mogę; załóż ją nad łóżeczkiem swojem, a sny miłe miewać będziesz".

Anusia przyjęła chętnie palmę, dziadek poszedł dalej, a ona wróciła do Moniki i opowiedziała jej wszystko. Przybyli wkrótce rodzice i pochwalili, co uczyniła. — Poświęcona gałązka była zawsze odtąd nad łóżeczkiem Anusi, i sprawdziły się słowa dziadka, bo ile razy na nią spojrzała, przyjemne uczucie ją napełniało, i sny jej były słodkie i miłe.

POWSZECHNA MOWA HANDLOWA.

(Dokończenie.)

Dla przykładu podajemy „Ojcze nasz" w języku Volapuk. W polskim języku zmieniamy „Ojcze nasz" cokolwiek, tak, iżby każdy wyraz stał pod odpowiednim wyrazem nowej tej mowy:

Fat obsik, kel binol in suls mem olik pasanuko-
Ojcze nasz, który jesteś w niebie, imię twoje święć
mos; kinan olik nakokomos; vil olik jenomos
się; królestwo twoje niech przyjdzie; wola twoja bądź
su tal aslik in sul; givolos obis tudel bodi obsik
na ziemi jak w niebie; daj nam dzisiaj chleba naszego
delik, e forgivolos obes nofis nobis aslik fogivobs
powszedniego, i przebacz nam winy nasze jak przebaczamy
utes kels enofoms obis; e no letolos obis
tym którzy grzeszą przeciw nam; i nie daj nam
pabevikodon fa tenud, sod delivolos obis
być zwyciężonymi przez pokuszenie, lecz zbaw nas
de bad. Jenosod.
od złego. Niech tak będzie. (Amen.)

Przedimka nie ma w mowie „Volapuk".

Rzeczownik przypadkuje się. Weźmy na przykład rzeczownik *dom*, (po polsku także dom.)

Nom. *dom*, dom
Gen. *doma*, domu
Dat. *dome*, domowi
Acc. *domi*, domu.

Liczba mnoga tworzy się przez dodanie litery *s*.

Przymiotnik tworzy się, jak już powiedzieliśmy przez dodanie zgłoski *ik* n. p. *dom*, dom, *domik*, domowy.

Przysłówek tworzy się przez dodanie do przymiotnika litery *o*. Na przykład, *domik*, domowy, *domiko* domowo.

Zaimkami są: *ob*, ja, *ol*, ty, *om*, on, *of*, ona. Dodając w liczbie mnogiej *s*, mamy: *obs*, my, *ols*, wy, *oms*, oni, *ofs*, one. Zaimek dzierżawczy tworzy się przez dodanie zgłoski *ik*: *obik* mój, *olik*, twój, *obsik* nasz, *obiks*, nasze.

Słowa tworzą się od rzeczownika. Znając rzeczownik *puk*, mowa, dodajemy *on* i mamy słowo *pukon*, mówić. Dla rozmaitych osób dodają się do rzeczownika odpowiednie zaimki, na przykład: *pukob*, mówię, *pukol* mówisz, *pukom*, mówi, *pukobs*, mówimy, *pukols*, mówicie, *pukoms*, mówię. Czasy tworzą się przez dodanie na początku słowa liter *a*, *e*, *i*, *o*, *u*. Na przykład: *pukob*, mówię, *apukob*, mówiłem (czas przeszły nied.) *epukob*, mówiłem, (c. p. dok.) *ipukob*, mówiłem był, *opukob*, będę mówił, *upukob*, będę mówił (czas przyszły dok.)

Z tego można poznać, iż gramatyka nowej tej mowy jest nader pojedynczą i łatwą do zrozumienia.

Wiele już wyszło dzieł służących do uczenia się tej mowy. Oprócz gramatyki wydał Schleyer także słownik Volapuk-niemiecki, obejmujący 13,000 wyrazów. Dwa te dzieła wyszły już w czterech wydaniach. Gramatyka w skróceniu wyszła nietylko w języku łacińskim i wszystkich europejskich językach, ale też i w chińskim i narzeczu Nama, języku Hottentotów. Wyszły już też słowniki dla użytku Francuzów, Anglików, Włochów, Holandczyków i Węgrów.

W języku Volapuk wychodzą także dwa pisma: „Volapukbled" z tłómaczeniem na drugiej stronicy i „Volapukaklubs", drukowane zupełnie po Volapuk'sku.

Podczas powszechnej wystawy w r. 1889 odbędzie się międzynarodowy kongres Volapuk'istów w Paryżu.